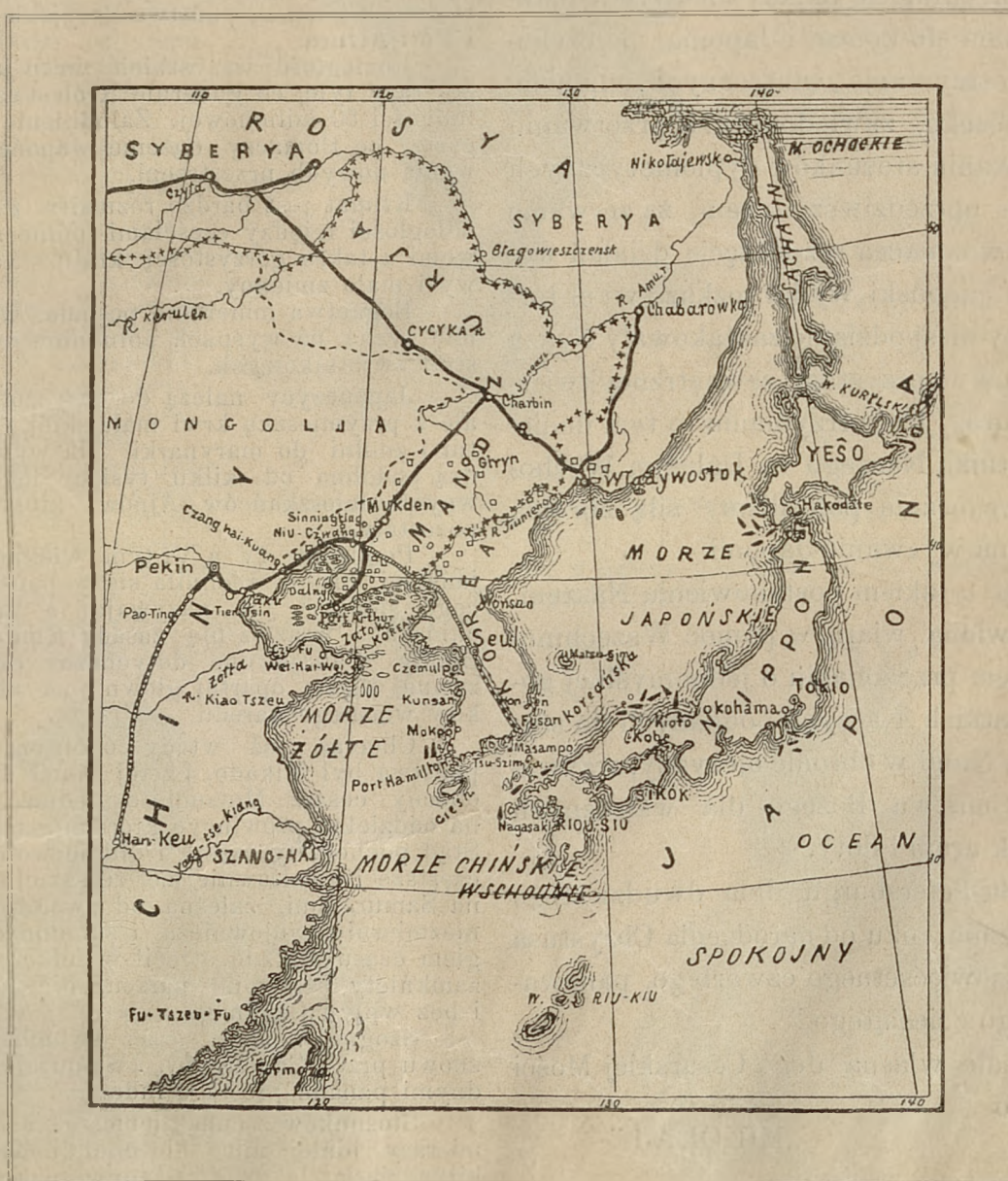




WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci
Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



Mapka Mandżuryi, Korei i Japonii.

NAJWYŻSZY MANIFEST.

Petersburg, 10 lutego (A. T. H.) „Pravit. Wiest.” zamieszcza następujący Najwyższy Manifest:

„Ogłaszamy wszystkim naszym wiernym poddanym:

W troskach o utrzymanie drogiego sercu Naszemu pokoju My dokładaliśmy wszelkich usiłowań dla utrwalenia spokoju na Dalekim Wschodzie. W tych pokojowych celach wyraziliśmy zgodę na zaproponowane przez rząd japoński przejrzenie istniejących między obu państwami umów w sprawach koreańskich. Rozpoczęte w tym przedmiocie układy nie były jednakże doprowadzone do końca i Japonia, nie czekając nawet na otrzymanie ostatecznych odpowiedzi rządu Naszego, zawiadomiła o przerwaniu układów i zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Rosyą. Nie uprzedziwszy o tem, że zerwanie tych stosunków oznacza rozpoczęcie działań wojennych, rząd japoński wydał rozkaz swym torpedowcom, aby niespodzianie zaatakowały Naszą eskadrę, stojącą w przystani zewnętrznej twierdzy Port-Artura. Po otrzymaniu o tem doniesienia Namiestnika Naszego na Dalekim Wschodzie, My niezwłocznie poleciliśmy siłą zbrojną odpowiedzieć na wyzwanie Japonii.

„Ogłaszając o takim postanowieniu Naszem, My z niezachwianą wiarą w pomoc Wszechmocnego i w silnem przekonaniu o jednomyślniej gotowości wszystkich Naszych poddanych do stanięcia razem z Nami w obronie ojczyzny, wzywamy błogosławieństwa Bożego dla walecznych Naszych wojsk armii i floty.

Dan w St.-Petersburgu dnia dwudziestego siódmego stycznia, roku od narodzenia Chrystusa tysięcznego dziewięćsetnego czwartego, panowania zaś Naszego dziesiątego.”

Na oryginale własną Jego Cesarskiej Mości ręką podpisano

„MIKOŁAJ ”



JAPONIA.

Jezeli spojrzemy na mapę Azji, uderzy nas przy wschodnim brzegu — na równi z północnymi Chinami i Syberyą — szereg wysp, tworzący jakby łuk, ku lądowi stałemu wysunięty. Wyspy te z wyjątkiem najbardziej północnej, Sachalinu, należącej do państwa Rosyjskiego, stanowią Japonię.

Z powodu ostatnich wypadków, a mianowicie rozpoczętej przez Japończyków wojny, uwaga ogólna skupiła się na tym kraju, o którym przed kilkudziesięciu laty jeszcze mało wiedziano w Europie i na ogół niewiele się nim zajmowano.

Przypatrzmy się najpierw mapce, umieszczonej w tym numerze: zobaczymy na niej główne wyspy japońskie, nie wyłączając najbardziej południowej — Formozy, a oprócz tego półwysp koreański, o którym pisaliśmy przed dwoma tygodniami, oraz część Chin i Mandżuryi, przez którą przechodzi nowa kolej mandżurska, łącząca Europę z oceanem Spokojnym w dwóch portach państwa Rosyjskiego: Władywostok i Port-Artura.

Rozległość wszystkich wysp japońskich wynosi 2 $\frac{1}{2}$ razy tyle, co gubernie Królestwa Polskiego, przy ludności 50 milionowej. Zaludnienie więc jest bardzo gęste, co tłumaczy dążenie Japończyków do opanowania nowych przestrzeni.

Klimat jest bardzo rozmaity z powodu znacznej odległości między częściami północnymi a południowymi a także górzystości kraju. Na ogół jest zdrowy i mało zmienny.

Bogactwa mineralne posiada Japonia duże i ziemię żyzną, na wyspach południowych jest roślinność stref zwrotnikowych.

Japończycy należą do rasy żółtej, mongolskiej, ale z przymieszką krwi malajskiej, są sprytni, obrotni i zdolni do marynarki. Na wyspach swoich siedzą podobno od kilku tysięcy lat, wytepiwszy dawnych mieszkańców Ajnów, których resztki tylko pozostały.

Pomiędzy IV a VI-tym wiekiem ery chrześcijańskiej, rozpowszechniła się w państwie „Wschodzącego słońca,” jak nazywają je sami, cywilizacja chińska a wraz z nią zasady Konfucjusza i religia Buddy. Panują one dotychczas obok starej religii, zwanej *Szynto*, opartej głównie na ubóstwianiu przodków własnego narodu.

Chociaż już wtedy ogólnym władcą całego państwa był Mikado, i z tej samej dynastii pochodzi obecny cesarz Mutsuchito, jednak kraj dzielił się na oddzielne prowincje któremi zarządzili Szogunowie. Stąd pochodziły częste i długie wojny domowe, tem częstsze i gwałtowniejsze, że szlachta japońska, zwana Samurajami, zależna od swoich Szogunów, była niezmiernie wojownicza i skłonna do walki. Z biegiem czasu Mikado utracił wszelką władzę i siedział zamknięty w swoim pałacu, niewidzialny dla ludu i bez wpływu żadnego.

Szoguni zarządzili przez swoich „Dajmiów” — ci znowu przez Samurajów, a Samuraje byli wszechwładnymi panami prostego ludu.

Stosunków z cudzoziemcami, a zwłaszcza z ludźmi rasy białej mieć nie chcieli. Kiedy nawet przez kilkadziesiąt lat w XVI-tym w. rozkrzewiała się, dzięki Portugalczykom, wiara katolicka na południu, niebawem wytepił ich w wojnie domowej — silniejsi liczebnie i wspierani przez Chińczyków Szoguni północni.

Przez cały ten niezmiernie długi okres Japończycy w dziedzinie sztuki i przemysłu odznaczyli się tylko na polu malarstwa dziwnego, ale nie podobawionego wdzięku, wyrobów z laki, jedwabiu i porcelany. Częste zaś wojny i wpływ religii buddyjskiej wyrobiły w nich niezwykle lekceważenie śmierci i niezmiernie wysokie poczucie honoru, szczególnie Samurajów.

Życie rodzinne jest bardzo rozwinięte, żona dzieci cieszą się zawsze opieką mężów i ojców, stanowisko ich w domu, nie jest tak upośledzone, jak w Chinach.

Zmiana w całym ustroju życia Japończyków nastąpiła w 1868 roku. Młody Mikado Mutsuchito przy pomocy Samurajów, którzy dziś grają najwybitniejszą rolę w kraju, jak margrabia Ito, marszałek Amagata, prezes ministrów Katsura i inni, znieśli władzę Szogunów i wznovili prawdziwe rządy Mikadów z udziałem parlamentu.

Nastąpiło też nawiązanie stosunków z ludami japońskimi i dziwnie szybkie przejęcie się ich cywilizacją. Obecnie po latach trzydziestu pięciu, posiada Japonia wszystkie instytucje państw europejskich: uniwersytety, banki, koleje, telegrafy, prasę, armię

umundurowaną na sposób francuski, flotę handlową i wojenną i t. p.

W r. 1895 prowadziła pomyślną wojnę z Chinami, a w 1900 wespół z innymi państwami europejskimi brała udział w stłumieniu słynnego ruchu bokserów w Chinach.

Jednocześnie wzmógł się rozwój ekonomiczny i handlowy, ruch umysłowy, literacki i artystyczny. Wkrótce też ma być wprowadzony alfabet łaciński zamiast dawnego sposobu pisania znakami na wzór Chińczyków.

Stolicą państwa i rezydencją Mikada jest Tokio, miasto liczące 1½ miliona ludności, oprócz tego jest kilka wielkich miast (Ojako, Osaka, Rioto) liczących z górą pół miliona mieszkańców, oraz duże porty, jak Yokohama, Nagasaki, Simoneseki i t. d.

Strój narodowy Japończyków i Japonek jest bardzo malowniczy, ale obecnie klasa wyższa i średnia zaczyna go zarzucać, przyjmując ubranie europejskie; pomimo to jednak nie żywią uczuć przyjaznych do narodów rasy białej, od których w tak krótkim czasie tyle się nauczyli.

O życiu dzieci i młodzieży japońskiej napiszemy innym razem.



Ptaki w kraju zimujące.

3. Kuropatwy.

Łoc, zawierucha. Pędząc przez łąny,
Wicher podnosi śniegu tumany,
Przydrożne wierzyby, wiekiem zgarbione
Chwyta z poświstem w płasy szalone.
Zamie gałązki, suchy liść niesie;
Wyjąc, przepada w sąsiednim lesie.

Włogo jest temu, kto w takiej porze
W zacisznej swojej siedząc komorze,
Gdy na kominie ogień się pali,
Choć o dziatwę gwarzy, to Bogo chwali.
Wam wśród zawianej, pustej przestrzeni,
Wierz, ptak lub człowiek błędzą strwożeni.
Przyjńijcież ludzie pod strzechy wasze
Ziębłych wędrowców, zgłodniałe ptaszę!

* * *

Wto się czerni ptaków gromadka,
Stado kuropatw: ojciec i matka,
Młode dzieci. Na skraju boru
Wbierały żer swój jeszcze w wieczoru,
W pewną w krzakach ochronę miały.
Lecz lis zdradliwy, ten zwierz zuchwały,
Rozpędził stadko: teraz wśród pola,
Wichru, zamieci — okropna dola!
— Odwagi dzieci! zdążajcie śmiało,
Póki sił trochę wam pozostało.
Jest tu gdzieś szalaś, gdy tam dojdziemy
Po ciężkich trudach w ciszy spoczniemy.
Pierwsza dopiero to zima wasza,
Wszystko was gnębi, wszystko przestrasza,

Ojciec wasz, matka gorsze przygody
Już przeszli w życiu bez żadnej szkody. —
Tak dzielny kohot *) zachęca dziatki
Skupione w koło troskliwej matki.
Słowa te zaraz smutnych skrzepiły,
Dążą więc w śniegi z nowymi siły.
Aż ot i krzaki, blisko ochrona,
„Wasza wytrwałość wynagrodzona.”
Matka wraz z dziećmi pod daszek wchodzi,
Już im wiatr mroźny tu nie zaszkodzi,
I smacznych ziarenek zapas nie mały,
Litosne ręce przygotowały...

* * *

Tak w życiu jak i w świecie,
Złe z dobrem wraz się plecie;
Po zamieci śniegowej
Wstaje ranek różowy.
Już znów słońeczko świeci,
Matka woła: „Hej dzieci
Gościńce opuszczajcie,
Na skrzydełkach wzlatajcie.”
Wszystkie razem ówierknęły
I w powietrze frunęły.
Ach! rozkosznie, wesoło!
Równe łąny w około,
Białe puchy łabędzie,
Rozesłały się wszędzie!
Kohot wiedzie drużynę
Na gęstą oziminę,

*) Kohot w języku myśliwskim znaczy kogut.

Ruń *) soczysta, zielona,
To strawa ulubiona.
Więc zwartemi szeregami
Odrzebują przez śniegi.
Dla nówek, dziobków praca,
Ale zysk ją opłaca;
Już pożywione trochę,
Igraszki wiodą płocze...
To jedna drugą goni,
To się w badyłach chroni...

Wtem ozwał się krzyk trwogi:
— Dzieci! jastrząb! wróg srogi!
Rozpiął skrzydła szeroko
Utkwił w stadko swe oko.
Teraz już tylko mierzy,
W które z ptasząt uderzy...
Lecz w saneczkach przez niwy,
Jechał właśnie myśliwy,
Skoro jastrzębia zoczył,
Prędko z sanek wyskoczył.
Chwycił za broń, wypalił...
Biedne ptaszki ocalił.

Tak wśród zmiennej kolei,
Troski, strachu, nadziei,
Złą porę przetrzymały,
I wiosny doczekały.

A. Żelińska

*) Ruń — młode złoże w zimie.

PSIE POLE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY

przez

Włodzimierza Trąpczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

Statnie słowa dotknęły starego Natana do zywego. Przeciw prawom gościnności nie zawinił nigdy, wszędzie znano „Judówkę” pod Świętą Górą jako ostoję dla rycerstwa wszelakiego, a tu niezastuzenie spotyka go ciężki zarzut z ust człowieka, którego może najwięcej poważał w okolicy. Smutnie też zwiesił głowę, a ten smutek tak odbił się na obliczu, że Maćko starał się natychmiast złe wrażenie naprawić.

— Co tu teraz o gościnności rozprawiać, mój Natanie, lepiej powiedz, co postanawiasz uczynić? W domu twoim rozporządzać się nie mogę, ale na moją głowę, to podszedłbym przynajmniej i zapytałbym się, kto zacz owi ichmościowie, dobijający się tak natarczywie.

— Ha! trzebaby to zrobić — z wahaniem odparł Juda — ale zawsze rzecz niebezpieczna.

Maćko roześmiał się głośno i rzekł wesóło:

— Omyliłem się, gdy powiedziałem, że gościnność nie jest pomiędzy nami jednaka; nie omyłę się

wszakże, gdy cię pouczę o naszej odwadze, a waszem tchórzostwie.

W tej chwili przy boku Maćka stanęli: Dobek z Kruszyńką, którzy również zbudzeni ze snu, przyozdzieli się i przybiegli do komnaty Natana.

— Ażebyś się przekonał, że u nas małe pacholeta więcej mają ognia rycerskiego, aniżeli wy wszyscy razem, wysłę oto Dobka i Kruszyńkę na zwiady. Hejże! — dodał, zwracając się do chłopców — po biegnijcie do wrót i dowiedzcie się, kogo bogowie nasłali w te progi?

Dobek z Kruszyńką kopnęli się z miejsca, a za chwilę słyhać tylko było rozbryzgiwanie się błota pod nogami pędzących ku furcie chłopców.

Łoskot ucichnął, a Maćko i Natan zmiarkowali snadnie, że wysłannicy weszli w rozmowę z późnym przybyszami.

Domownicy przytrzymywali tymczasem brytany, które, nie znając pacholąt, gotowe się były na nie rzucić i rozszarpać w kawały.

Starzy milczeli, a Juda niespokojnym okiem wodził, to wyglądając przez próg na dziedziniec, to znów patrząc na wnętrze komnaty i zatrzymując wzrok dłużej na skrzyniach okowanych, jak gdyby raz jeszcze chciał się upewnić, że wytrzymają napór żelazców i pałek.

W tym samym pędzie, z jakim wybiegli ku bramie, powrócili teraz chłopcy i Dobek zdyszany zaczął mówić słowami urywanemi:

— Powiadają, że przybyli ze stron dalekich, że trudnią się rzemiosłem rycerskim, że nie wchodzą tu w żadnych złych zamiarach.

— Trzeba się było zapytać o imiona i klejnoty — przerwał Maćko.

— Nie zaniedbaliśmy tego — wtrącił spieszenie Kruszyńka — oni jednak...

— Mówże dalej — ośmiał rycerz z Mielżyna, Dobek wszelako i Kruszyńka spojrzeli po sobie i zaczerwienili się po uszy, a na twarzy Dobka odbiło się oburzenie. — Mówcież do czarnego biesa! — powtórzył Maćko.

— Oni... oni powiedzieli, że z dziećmi nie będą się rozprawiali po nocy — wystękał Kruszyńka,

Maćko uśmiechnął się pod wąsem i zawołał.

— Niby słuszności odmówić im nie można, toć i ja niechętnie zabawiałbym się rozmową w takiej chwili, ani wiedząc, kim jest chłopiec, który stawia pytania. Pójdę teraz sam na zwiady, chodź ze mną Natanie!

Stary Juda nie śmiał się opierać wezwaniu, uczynił to jednak niechętnie, i puściwszy naprzód Dobka i Kruszyńkę, za którymi szedł Maćko, trzymał się w tyle w przyzwoitem oddaleniu. Na wszelki wypadek przywołał dwa zajadłe brytany i w tem otoczeniu kroczył ku wrotom. Służba zapaliła łuczywa, światło jasnym płomieniem buchnęło w górę, ale deszcz sprawiał, że co chwilę krzesać było trzeba ogień,

— Kogoż bogowie prowadzą? — zapytał Maćko, stanąwszy przy furcie.

— Nie bogowie, ale Bóg, jeden i jedyny w Trójcy Świętej, zawiódł nas do tego domu — rozległ się głos z za muru — ale wy chyba tego Boga nie macie w sercu, skoro pozwalacie nam moknąć na deszczu i wyczekiwać zmiłowania.



Japonki.

— Na gawędy dosyć jeszcze będzie czasu — zimno odparł Maćko — teraz tylko wyjawcie klejnoty swoje i przysięgnijcie, że do domu tego wstępujecie jako przyjaciele, nie jako wrogowie.

— Na Chrystusa rany przysięgamy, a skoro o nazwanie nasze wam chodzi, to wiecież, że pomiędzy nami jest dwóch Grzymalitów, jeden Toporczyk, dwóch Nałęczów.

— Zatem jest was pięciu — zauważył Maćko.

Na razie z poza muru nie dano żadnej odpowiedzi a bystry słuch Natana nie mylił, gdy pochwycił jakieś narady i szepcienia.

— A zatem jest was pięciu! — powtórzył Maćko tym razem głośnie.

— Nie! jest nas sześciu, ale ten szósty niezwykłym zdoła się klejnotem — rzekł inny z przybyszów. — Blask od niego bije, chociaż pradziad pługiem się zasłaniał, a kołodziejstwem trudził.

— Coś wykrętnie mówicie — zawołał Maćko — nie znam klejnotu, na którego tarczy byłby pług i narzędzia kołodziejskie.

— Nie zwlekali byście — brzmiała odpowiedź — a skoro przysięgliśmy wam, że nie w złych zamiarach wchodzimy do tego domu, to chyba powinniście uwierzyć. Jeżeli też potrzycie nas dłużej pod murami, to stopniujemy na deszczu.

Maćko nie namyślał się już wprawdzie i postanowił otworzyć furtę; ale na wszelki wypadek obejrzał raz jeszcze żeleźce i dopiero upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, skinął na pacholików Natana, ażeby, jako świadomi sekretów zamku, zajęli się odsunięciem rygli i odbiciem skobli. Zajęło to sporo czasu, ale przyby-

sze, posłyszawszy zgrzyt i uderzenia w zamkach, uspokoili się i czekali cierpliwie.

Wreszcie ostatnia zapora przy odsuwaniu wydała skrzyp głośniejszy, a w tej samej chwili furta rozwarła się i na progu stanęła postać tak niska, że nawet stary Juda odetchnął, a przez głowę przebiegła mu myśl: „No! jeżeli oni wszyscy są takich kształtów, to niepotrzebnie lękaliśmy się napadu.”

Maćka znów inna rzecz zastanowiła. Szlachcic z Mielżyna, znający obyczaje rycerskie — zdumiał się niepomiernie, że z widoczną czolobitnością wpuuszczono przodem tego człowieka młodego i niepozornego, dopiero zaś po nim próg przestępować zaczęli ludzie starsi i poważniejsi. Przy słabem, ustawicznie namokającym świetle łuczyna, trudno było rozpoznać twarze, po chodzie jednak i ruchach odczuł Maćko różnicę.

— Chwała Bogu naszemu, Jezusowi! — rzekł jeden z przybyszów, na co padła z ust Maćka odpowiedź:

— I my Go kochamy! Witajcie bracia.

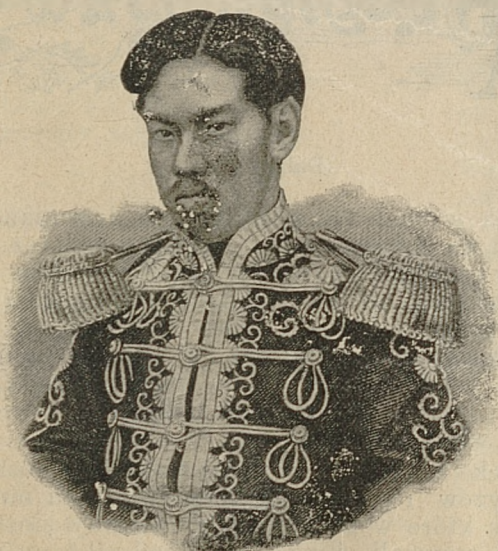
Przestrzeń od bramy do domu Judy przebyli wszyscy w milczeniu, prowadził zaś i szedł pierwszy rycerz z Mielżyna, torując i wskazując drogę. Dopiero przy wejściu, pomny praw gościnności, usunął się na bok, a objaśnwszy, że nie on tu jest panem, lecz Natan, przepuścił gości. W komnatach rozwidnili światłami licznymi pachołkowie Natanowi, zbiegli się także wszyscy domownicy, ażeby bodaj z daleka popatrzeć na niezwykłych, o tak późnej porze przybyszów.

(d. c. n.)



Samurai

t. j. szlachcic japoński w stoju narodowym.



Cesarz japoński.



Cesarzowa japońska.

Z PROCHUŚ POWSTAŁ...

Karnawał 1807 r. był pierwszym moim w świat występem. Tylko, że zamiast froterowanej posadzki, śnieg lśnił się pod memi stopami, miasto muzyki grały armaty z towarzyszeniem ręcznej broni; miasto wesołych okrzyków, rozlegały jęki rannych i umierających.

A nad tą całą biesiadą polatywał śnieg gęsty, to znów wiatr zaszumił, a na wielkim stropie rozpiętym nad nami, mrugały złociste gwiazdy. Słowem byłem dnia 6 i 7 lutego w bitwie pod pruską łławą *) a jako młodzieniec siedemnastoletni, słusznie mogę nazwać dni one pierwszym moim w świat występem. A że tam po srogiej bitwie przepędzało się noc na cmentarzu, który dał nam jakie takie za wysokim murem schronienie, to przecie nie tak nadzwyczajnie!

Wszak i Napoleon, ów wielki bohater, noc tę tak samo przepędzał, a ja miałem nad nim tę wyższość, że kiedy jego głowę byłaby bodaj cała Europa z nadzwyczajnym smakiem, bez wszelkich przypraw połknęła, o moją wcale się nikt nie dobijał.

Mogłem też być o nią najzupełniej spokojny, o ileby jakiej zabiłanej kulce nie podobało się wziąć ją za cel swoich tanecznych podskoków.

Po takiej bitwie, jakąśmy mieli pamiętnych dni onych, należał nam się odpoczynek,

I czy to gwoli wysapania się po onych trudach, czy gwoli innym zamiarom wodza-cesarza, aż dziewięć dni staliśmy na miejscu.

Miejscem tem zaś był wielki wykopany grób w zmarłej ziemi lub zasypany śnieżne dla tych, co sobie już spoczynek na wieki zdobyli — dla tych zaś, którym onego udzielono chwilowo, las rósł po obu stronach, silnie strzeżony zaspami, a w najlepszym razie stodoła, do której niezbyt gościnnie nas wprowadzono.

Wszakże był to wypoczynek.

Wiadomo też, że gdy człek w beczynności pozostaje, najrozmaitsze przychodzą do głowy myśli.

Otóż i mnie wtedy przyszła myśl, że karnawał ubiegł w tak oryginalny sposób, że moje dwie starsze siostry używały go pewnie do syta, że w ostatnie dni zapust w każdym domu piętrzą się całe góry pączków i faworków, i że zapach od nich rozchodzi się nietylko w kuchni i pokojach ale nawet na całym podwórku, ba, nawet na drodze oznajmia przejeżdżającemu, że gdyby wstąpił, spotkanoby go półmiskiem świeżuteńkich pączków.

I takim się zatopił w tych myślach, takim sobie dom rodzicielski wyobraził, iż zdawało mi się, jakoby zapach onych przysmaków powonienie moje drażnił.

Aż naraz ktoś mnie pociągnął za rękaw i woła:

— Paniczu!...

Obejrzę się, to Franek, co zwykle w kuchni rożen obracał i razem ze mną na wojaczkę pociągnął.

— A co? — zapytam.

— Oo! — rzeknie, wskazując na płonące ognisko, nad którym kociołek się kołysał.

Na razie nie zdawało mi się w tem nic nadzwyczajnego, aż Franek z tajemniczą miną szepnął:

— Pączki!

Teraz już powonieniem dosadnie poczułem, że to nie złudzenie, jeno zapach przypominający zapustne smakołyki.

*) Preussisch Eylau nad Pasmarą.

— Ja smażę — dodał z dumą były kręci-rożen.

Podeszliśmy też zaraz oba, Franek końcem szpady wydostawał ciemno-żółte kulki, skwierczące w gorącym tłuszczu i podawał każdemu z nas z miną szanującego facha swój kucharza. Był rzeczywiście w onej chwili persona grata.

W tem stanęła tuż przy nas postać otulona płaszczem, w znanym każdemu trójgraniastym kapeluszu. Zerwaliśmy się na nogi.

Tylko Franek nie stracił rezonu.

Utkwił szpadę w ostatnim pływającym pączku i z wielką gracyą i żołnierskim ukłonem podał go cesarzowi Napoleonowi.

Przyjął go wódz z tą łaskawością, jaką umiał do siebie przykuwać, a włożywszy przysmak do ust, rzucił, odchodząc:

— Bon!

Franek był jakby w niebo wzięty. O północy kazano nam wyruszyć.

Stanęliśmy gotowi.

Gwiazdy mrugały na niebie, rozpowiadając sobie jakąś tęskną, tajemniczą historję.

Ten i ów spojrział i powierzył im swoje myśli z krótkim westchnieniem, by je zaniosły pod wskazanym adresem.

Aż nagle zabrzmiał głos:

— Popielec!

To Franek przypadł do dogasającego ogniska, odgarnął zarzewie, ostudził popiół a wzięwszy garstkę, i sypiąc sobie na krótko ostrzyżoną czuprynę, z wielkiem wyrzekł namaszczeniem:

— Z prochuś powstał...

I w jednej chwili myśli nasze zwróciły się do podwoi otwartych, gdzie lud się ciśnie z pokorą, gdzie począwszy od głów posiwiających aż do jasnowłosych, dziecięcych, chylą się kornie, a kapłani sypiąc na nie popiół, powtarza:

— Z prochuś powstał... w proch się obrócisz...

Z. Morawska.



(Dalszy ciąg.)

Janek w ruch też puścił swoje drewniane łyżwy i spieszył do Amsterdamu. Spieszno mu też było do domu, by oznajmić dobrą nowinę. Wieczorem on i Hania ślizgali się już na pysznych stalowych łyżwach. Księżyc jasno świecił i pani Brinkerowa, chociaż utrzymywała, że nie wierzy w wyzdrowienie męża, tak była uradowana nadzieją wizyty wielkiego doktora, że pozwoliła dzieciom pobawić się wieczorem jakby w wielkie święto.

Janek z zapałem wykazywał Hani doskonałość swoich łyżew i pokrył powierzchnię lodu mnóstwem rysunków które w zachwyty wprowadziły siostrę. Nie oni jedni używali ślizgawki, choć nikt na nich nie zwracał uwagi.

Byli tu bracia van Holp i Karol Szummel, współzawodnicząc w szybkości. W czterech wyścigach Piotr van Holp trzy razy odniósł zwycięstwo, co w bardzo zły humor wprawiło Karola. Chcąc sobie ulżyć, dokuczał ile mógł małemu Szimmelpenikowi. Nowa myśl zaświtała teraz w głowie Karola. Zaprzagnął zwalczyć „demokratyzm” jak mówił Hildy van Gleck i kilku swoich przyjaciół.

— Słuchajcie koledzy — mówił — nie można dopuścić, aby te obdarte dzieci głuptasa Brinkera razem z nami brały udział w wyścigach. Nie rozumiem, skąd Hildzie taki pomysł przyszedł do głowy. Marynka Flock i Regina Korbes są oburzone samą myślą o współzawodnictwie z jakąś obszarpaną dziewczyną a ja zdanie ich podzielam. Co do chłopca to...

— To, przerwał Piotr van Holp, to zupełnie inna sprawa. Żaden łyżwiarz, z iskrą honoru w pierśsiach nie odsunie od wyścigów współzawodnika dla tego tylko, że jest gorzej od innych ubrany.

Te słowa tak Karola rozgniewały, że na razie nie mógł zdobyć się na odpowiedź.

— Nie bądź tak szybki w sądach, — wyrzekł wreszcie i nie poddawał innym własnych myśli. Radę ci w ten sposób nie poczynać ze mną.

Mały Voost pewny był, że teraz koledzy wezmą się za czuby i roześmiał się głośno w przekonaniu, że Piotr van Holp da radę nie jednemu ale dziesięciu Karolom. Istotnie coś takiego zabłysło w oczach Piotra, że Karol w jednej chwili zwrócił się do rozśmieszonego, chłopca.

— Czego się drzesz? — zawołał, ty smyku, ty śledziu chuderlawy! Małpeczko z dwułokciowem nazwiskiem.

Śmiech rozległ się w około, a Karol widząc, że nie z niego się śmieją, odzyskał dobry humor. Jednakże odłożył na później spiszek przeciw Hani i Janowi w jego głowie powstały. Zamierzał skorzystać kiedy z nieobecności Piotra.

V.

Jakób Poot i jego kuzyn. — Dzień św. Mikołaja.

W tej chwili chłopcy spostrzegli dążącego do nich Jakóba Poota. Poznali go nie po rysach twarzy, na to było za ciemno, ale po tuszy. Równie tłustego chłopca jak Poot nie było w całej okolicy.

— Hej! grubas się ku nam toczy — zawołał Karol a z nim jakiś drugi, cienki i wysoki. Wygląda na cudzoziemca.

— To kuzyn Jakóba: przybył z Anglii, objaśnił mały Woost, dumny ze swych wiadomości, nazywa się Ben Dobbs i do dwudziestego pierwszego u nas zostanie.

Dotąd chłopcy w różnych kierunkach ślizgali się po lodzie, co im w rozmowie nie przeszkadzało, teraz jednak stanęli, czekając na Jakóba i jego towarzysza.

— Przedstawiam wam mojego kuzyna — mówił zdyszany Poot. Przybywa z Anglii i ma zamiar wziąć udział w naszych wyścigach, jeśli nic nie macie przeciwko temu.

— I owszem! prosimy! dobrze! wołali wszyscy razem.

Ben Dobbs poczuł się od razu między swoimi. Szkoda tylko, że nie łatwo było mu porozumieć się z nowymi znajomymi. Wszyscy uczyli się wprawdzie języków: francuskiego i angielskiego ale chociaż w szkole dobre mieli stopnie, okazało się w praktyce, że nie wielkie korzyści ciągnąć mogli z swej wiedzy. Ben znowu składał najkomiczniejsze zdania, starając się wyrazić swoje myśli w mowie holender-

skiej. Wiedział wprawdzie, że *wroaw* znaczy kobieta, *ya* tak; *spoorweg* kolej żelazna; że *stoomboot* to parowiec; *koper* miedź; *sadel* siodło. Tak skąpy słownik nie mógł mu wszakże wystarczyć. Nie wystarczały również rozmówki, których wyuczył się z podręcznika języka holenderskiego. O różnych mówiono tam rzeczach, ale jakoś nigdy nie można było owych książkowych tematów zastosować do rozmów w rzeczywistości prowadzonych.

Wkrótce ogarnął go gniew prawdziwy na myśl, że jeden z autorów holenderskich Jan van Gorp osmielił się napisać grubą książkę w języku łacińskim chcąc dowieść, że Adam i Ewa rozmawiali w raję po flamandzku!

Ale przyjemności ślizgawki kazały mu wkrótce zapomnieć o zarozumiałym pomysle. van Gorpa, kiedy zaś Poot oznajmił mu, że koledzy zamierzają urządzić wycieczkę do miast okolicznych, aby mógł poznać Holandję, uczuł wielką sympatyę dla całego narodu holenderskiego.

Był to projekt wspaniały! Doskonale zużytkowanie kilku dni niespodziewanych wakacji z powodu koniecznych przeróbek w gmachu szkolnym. A więc wyprawy po lodzie od Brocku do Hagi, czyli sześćdziesiąt kilometrów drogi.

— Kto chce należeć do wyprawy! wołał Jakób.

— Ja! i ja! i ja odzywały się zewsząd głosy.

— I ja także — zawołał cienkim głosem mały Voost.

Jakób roześmiał się.

— I ty mały? Ależ biedny nowicyuszu, jeszcze nie wyszedłeś z powijaków!

Taka odpowiedź niezmiernie oburzyła malca.

— Doprawdy? — zawołał. A ja tobie życzę, abys ty także wyszedł kiedy ze swoich tłuszczowych powijaków, któremi owinięty jesteś od stóp do głowy.

Chłopcy wybuchnęli chóralnym śmiechem z wyjątkiem Bena, który nic nie rozumiał, o co chodzi, Jakób śmiał się wraz z innymi i sam postawił kandydaturę Voosta, który zapowiedział swój udział w wyprawie, jeśli otrzyma zgodę rodziców.

— Dobranoc, dobranoc, żegnał mały Voost towarzystwo.

— Będziemy mogli po drodze zwiedzić Haarlem, mówił Piotr van Holp, i Lejdę a w Hadze spędzimy cały dzień i zanocujemy u mojej siostry. Ona i szwagier będą bardzo zadowoleni z naszych odwiedzin.

Taki projekt wszystkim się podobał.

— Ależ zimno! — zauważył Ludwik van Holp. Wróćmy już do domu.

— Cóż to szkodzi, że jest zimno, ty piecuch! Gdyby nie było mrozu, nie moglibyśmy po lodzie dotrzeć do Hagi, mówił Karol.

— Bardzo to być może, odparł Ludwik, ale tymczasem tak zmarzłem, że wracam do domu.

Piotr van Holp wyjął z kieszeni zegarek

— Już ósma godzina, oznajmił, przyglądając się wskazówkom przy bladym świetle księżyca. Wracajmy do domu; już św. Mikołaj wkrótce do nas zawita. Dobranoc!

— Dobrenocny! Do jutra.

Rozbiegli się, śpiewając i gwizdząc.

Ale cóż działo się wtedy z Jankiem i Hanią? Niestety! jakże radość trwa krótko. Kiedy weseli ślizgali się po kanale, usłyszeli nagle krzyk przyciszony, krótki krzyk ich matki.

— Ojciec! szepnęła Janek. Pewno przestraszył matkę.

Pobiegli do domu.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Adam Minhejmer. W ostatnich dniach stycznia roku bieżącego zmarł w Warszawie jeden z najstarszych muzyków naszych Adam Minhejmer. Urodzony w roku 1830 już w latach młodzieńczych z powodzeniem próbował swych sił na polu kompozytorskim, a w 20-ym roku życia został powołany na pierwszego skrzypka orkiestry teatralnej. Następnie w r. 1858 został dyrektorem orkiestry teatru wielkiego i na tem stanowisku chlubnie przez lat wiele pracował; wogóle całe życie Minhejmera upłynęło w Warszawie.

Prócz długiego szeregu pieśni, z których wiele jak np. *Flisacy*, *Czarny krzyżyk* i t. d. zyskało ogólną popularność, napisał również cztery opery, wystawiane wielokrotnie u nas i zagranicą, a nawet „Mazepa” grywana jest dosyć często i obecnie,

W roku zeszłym, a siedemdziesiątym trzecim swego życia uległ paraliżowi, który postępując szybko, kolejno pozbawiał go władzy we wszystkich członkach aż wreszcie spowodował zgon.

Jako człowiek nieposzlakowany, muzyk wybitny, umiejętny kierownik młodzieży pozostawia po sobie zaszczytną pamięć.

Odpowiedzi działu zadaniowego.

Litwince z nad Niemna. Przy nadsyłaniu zadań należy jednocześnie dołączać i rozwiązanie.

Trafne rozwiązania łamigłówek z ostatnich numerów nadesłali następujący czytelnicy: Staruszka, Tesia z Malina, Mazur z nad Wisły, Orzeł, Żabka z błota, K. Głowczewski, Leśna Poziomka, Pszczółka z nad Warty, Stanisław Świrski, Lilijka z Żórawiej, Świtezianka z nad Białki, Niezapominajka, Tola z Tomaska, Waclaw Swirski z Muromu (wierszem), Wiochna, Harun-Al-Raszyd, Figlarz warszawski, Zosia z Odessy, Chudziak, Niezapominajka, Szarotka z Tatr. Podlasianka, Uczeń I-ej klasy i Filolog.

Amatorowi nagród. Na ten sam temat posiadamy już kilka łamigłówek; może ułożysz inne jakie zadanie.

Wymiana kart pocztowych.

(Za zgodą rodziców lub opiekunów)

Zofia Pawlikówna. (Warszawa, Krakowskie Przedmieście N. 67 m. 5., pragnie korespondować z czytelnikami „Wieczorów Rodziny”).

Czesława Heilówna (Kruświca — Kruschwitz, Pr. Posen) życzy sobie zamieniać karty z czytelniczkami „Wieczorów”.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Najwyższy manifest. — Japonia (z ryc.) — Kuropatwy, wiersz przez A. Zielińską. — Psie pole, powieść Włodzimierza Trąpczyńskiego. — Z prochu powstał... przez Z. Morawską. — Srebrne łyżwy. — Ze świata — Łamigłówki i rozwiązania. — **Dodatek:** Konkurs na kaligrafię. — Moje opowiadania przez Z. B. (z ryc.) — Belunia, wiersz przez Radę. — Dary, przekł. M. G. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Obowiązek, powieść dla młodzieży przez Julię Piasecką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доводено Цензурою. Варшава 2 Февраля 1904 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka 15.

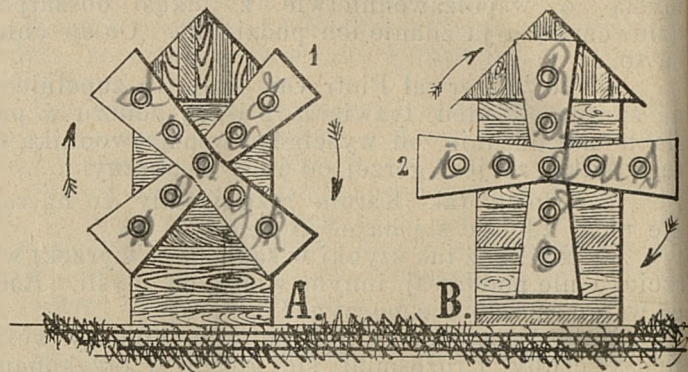
Wacław Świrski (Dr. Świrski, Murom, Włodzimierski gub.) pragnie korespondować z Ludwikiem Mańkowskim.

Hanna Baranowska (Warszawa, ul. Nowowiejska N. 9.) chciałaby korespondować z Halką z nad Teterow, Żabką i Muszką z nad Rosi, Halszką i Marynią z Perm, Niezabudką z nad Bugu i Sikoreczką z Wilna.

Zadania z konkursu pomysłowości.

ŁAMIGŁÓWKA WIATRACZKOWA.

ułożyła Ego.



Zamiast oznaczonych kólek należy podstawić litery w ten sposób, aby na śmigach każdego z wiatraków utworzyły się po dwa pięcioliterowe wyrazy, których początkowe i końcowe litery przy obrocie śmig w oznaczonym strzałkami kierunku, biorąc jedną literę z wiatraczka A drugą z B i t. d. w tym porządku mają złożyć nawisko poety z XVIII wieku.

Znaczenie wyrazów wiatraczka A: 1) Opera Żeleńskiego 2) Poeta polski z końca XIX wieku.

Znaczenie wyrazów wiatraczka B: 1) Pseudonim niedawno zmarłego poety satyryka. 2) Rzeka w Azji.

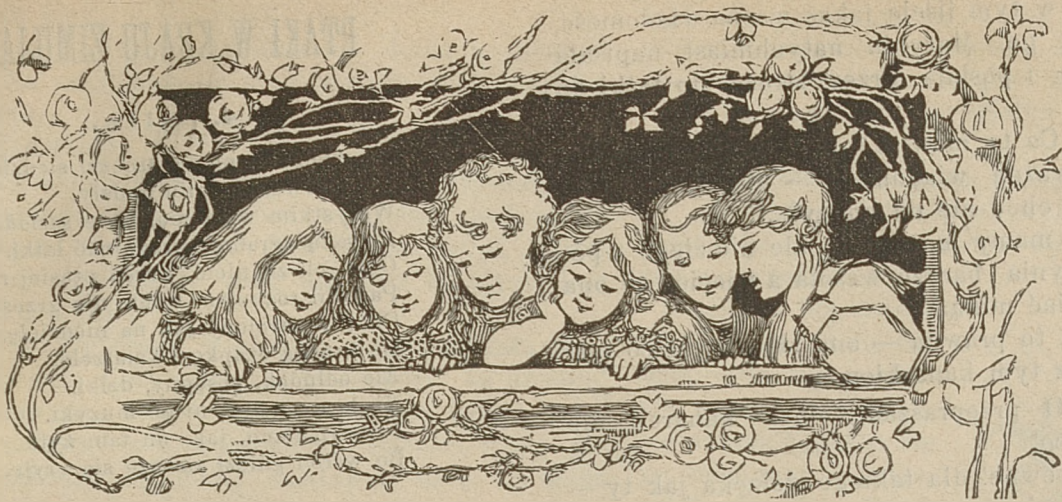
ROZWIĄZANIA DO N-ru 5-go.

Łamigłówki literowo-konikowej:

Syty głodnemu nie wierzy.
Trafiła kosa na kamień.

Zadania arytmetycznego:

Gęsi było trzydzieści, a cieląt dwadzieścia.



WIELKA NOWINA!

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

OSOBY:

Marynia, Wandzia, Janek, Stasio, Tazio (*najmłodszy z rodzeństwa*).

Rzecz dzieje się we Lwowie.

SCENA I.

Wandzia, Janek, (*siedzą przy stole i ziewają*).

Janek. Oj, oj, oj! tak mi się dzisiaj nic robić chce!

Wandzia (*tak samo*). I mnie także — bo co tu być w wakacje?

Janek. W wakacje można się tylko bawić szalenie, albo szalenie nudzić.

Wandzia. A że my się nie bawimy... (*ziewa*).

Janek. A więc się nudźmy (*ziewa znowu, po chwili w tym tonem*). Ale bo też, co za myśl miała ciocia, aby nam na sam koniec wakacji zabrać mamę, i nas skazać na siedzenie w domu. Mogła i nas może zaprosić razem.

Wandzia. Kiedy wiesz, że u cioci niedawno był ogień, więc może obawiała się...

Janek. Co mi tam kur! *) ja się żadnych kur boję — ani nawet kogutów! (*śmieje się — po chwili*). Oj Boże, już tylko trzy dni wakacji, i te tak marnie przechodzą! Żeby to choć na jaki porządnny spacer — do lasu na majówkę!

Wandzia. Dobryś! ciekawam z kim? Marynia zaraz powie, że trzeba się zadowolnić tem, co się może i zaproponuje wielki spacer do... ogrodu botanicznego.

Janek. Naturalnie! (*naśladując ton starszej siostry*). Marynia niech weźmie robótkę — chłopcy mogą wziąć jaką książkę — może... Robinsona Kruzo!

Wandzia (*śmieje się*). Wybornie! pysznie ją nadajesz. Marynia rzeczywiście umie zawsze wynaj-

dywać nowe i urozmaicone rozrywki. — Wiesz, że bym była taka nudna, to nie wiem co bym zrobiła.

Janek. Nudziłabyś drugich i siebie, tak jak ona.

Wandzia. Jednak ona się jakoś nie nudzi.

Janek. Bo zawsze ma coś do roboty — to nie sztuka!

Wandzia. Teraz zwłaszcza, w nieobecności mamy zajmuje się gospodarstwem, odrabia lekcje z Tadzikiem, gotuje nam czekoladę na podwieczorek...

Janek. Prawda, przyznaję, pełna zasług osoba, ale niemniej przypomina lukrecję.

SCENA II.

Ciż sami — Stasio.

Stasio (*wbiega żywo*). Co wy tu robicie?

Janek. To samo co ty: nudzimy się!

Stasio. O, przepraszam — ja się wcale nie nudzę; żebyście wiedzieli, gdzie ja już chodziłem, kogo widziałem, co słyszałem!...

Wandzia. Chodziłeś, pewnie nie dalej, jak na róg ulicy, bo ci po mieście biegać nie wolno, widziałeś straganiarkę na rogu i słyszałeś, jak godzina biła na ratuszu.

Stasio. Bardzo przepraszam! chodziłem do sklepu z papierami po ołówek — tam od sklepowej dowiedziałem się, że tej nocy był ogień w rynku...

Janek (*przerywa*). Oh, jaka zajmująca nowina!

Stasio. Potem spotkałem roznosiciela pieczywa, powiedział mi, że jego piesek chory od dwóch dni, może się wścieknąć — potem stróżowa opowiadała, że w naszej kamienicy dzwonek się zepsuł...

Wandzia (*śmiejąc się*). Same smutne wiadomości! Wiesz, mógłbyś się postarać o coś weselszego.

Janek. A zwłaszcza ciekawszego.

Stasio. Co ciekawsze, i zapewne weselsze, chowam na sam koniec. Wyobraźcie sobie, Marynia otrzymała jakiś list!

Janek. Wielka nowina! pewnie od jakiejś koleżanki. Wiadomo przecież, że uczennice klasy ósmej, rozstając się przed wakacjami, przyrzekły pisywać do siebie co trzy dni trzyarkuszone listy.

*) Odra.

Stasio. To wcale nie było od koleżanki i jestem pewny, że była w tym liście jakaś ważna wiadomość, bo otrzymałszy go, Marynia natychmiast napisała jakąś karteczkę i posłała przez stróża do tatki do biura.

Wandzia. Co ty mówisz? to w takim razie naprawdę jakaś ważna wiadomość — ale może to co złego?... Gdyby choć nie od mamy?...

Stasio. Od mamy może być, ale nic złego z pewnością, bo Marynia bardzo wesola a wiecie, że ona nie umie nadrabiać miną:

Janek. No, to prawda — ona się o byle co maże. Jak wtedy z tym kanarkiem...

Wandzia. O przepraszam cię — kanarek nie jest wcale byle co!

Janek. Zapewne! dla takiego dziecka jak ty — ale dla dorastającej panienci.

Wandzia. Przepraszam cię, ja nie jestem żadne dziecko!

Stas (śmiejąc się). Moja Wańdziu, pozwól, że już ja go będę przeproszał zamiast ciebie — bo ty się bardzo zmęczysz, jak będziesz tak co chwila to samo powtarzała. Zresztą Janek się wcale nie gniewa.

Wandzia (oburzona). Zawsze musisz udawać dowcipnego.

Stas (wesolo, biorąc się pod boki). A bo jestem dowcipny, i co mi kto zrobi? Zawsze potrafię coś wesołego powiedzieć, zawsze wszystko wiem, wszystko zgadnę.

Janek (śmieje się). A najłatwiej to, co już wszystkie wróble na dachach wygwizdały — nieprawdaż.

Stasio. Właśnie, że nie to. Ja mam swoje wiadomości „ekstra,” z własnego drutu telegraficznego! Otóż i teraz, gdybyście mnie poprosili, mógłbym wam powiedzieć, co właściwie w owym liście do Maryni...

Janek. Doprawdy? Może ci Marynia powiedziała?

Wandzia. Jeżeli wiesz, to powiedz — to przecież ciekawe!

Stasio. Aha! widzicie, jacyście ciekawi! Marynia nie mi nie powiedziała, ale od czegoż człowiek ma głowę na karku? Przypadkiem rzuciłem okiem na list otwarty, przeczytałem jedno słowo — a że mądrej głowie dość na słowie...

Janek. No, no! bez tych wstępów — do rzeczy, mądra głowo! Co tam było w liście?

Stasio. W liście było dwa razy, na dwóch liniach: Tadzik!

Wandzia (zniechęcona). Ot, to mi dopiero ciekawa rzecz! — Tadzik! wielka nowina! jak zacznie hałasować, to mamy tego „Tadzika” wyżej uszu.

Janek. A mama pewnie pisała, żeby się Tadzik zanadto nie objadał, bo będzie znowu chory — i ot, cała parada!

Stasio. Zaraz widać, że nie macie zmysłu kombinacyjnego, kiedy się takiej prostej rzeczy domyśleć nie możecie: przecież Tadzik skończył już siedm lat, a pojutrze jest pierwszego września — więc cóż mama mogłaby o nim pisać do Maryni, pomyślcie!

(d. c. n.)

PTAKI W KRAJU ZIMUJĄCE.

4. Gile.

Na wiejskim płocie sroczi siedziały,
I o czerwonym gilu gadały.
Wszystkim wiadomo, że te sąsiadki
Potrafią zgrabnie przypinać latki.
Otóż ich zdaniem, wśród ptasiej rzeszy,
Pan Gil rozumem wcale nie grzeszy,
Choć wystrojony jak na niedzielę,
Ma krasną czapkę i kamizelę,
Ale odludek, posępny, dziki,
Ni do rozmowy, ni do muzyki.
I niewiadomo, jak on tam żyje
Bo wśród gałęzi zawsze się kryje...

Szary wróbelek, słysząc tę mowę,
Przerwał kumoszkom plotek osnowę,
— Dajcie mu pokój, łaskawe panie,
Spełnia on jednak swoje zadanie.
Buduje gniazdo jak inne ptaki,
Nie gorzej niżli najmądrze szpaki.
Dzieci swe żywi, tępi owady,
Z nikim nie szuka kłótni i zwady.
Jeśli popadnie w klatki niewole,
Lepiej niż słowik, znosi swą dolę,
A kiedy inni lecą za morze,
On pozostaje z nami nieboże!
Gdy pola nasze pokryją śniegi,
Wyciągną wtedy gilów szeregi,
I rozweselą ranek zimowy
Czerwienią piórek, niby świt nowy;
Czy zawierucha, czy słońce świeci,
Tej naszej ziemi wierne to dzieci.

A. Z.

DARBY.

przełożyła z angielskiego

M. G.

(Dalszy ciąg).

Antea uszczypnęła się mocno dla pewności, a czując, że czuje uszczypnięcie, przekonała się, że nie zamieniła się w kamień i zaczęła szczypać resztę rodzeństwa. Wszyscy mieli ciało miękkie i czuli szczypanie.

— Obudźcie się! — wołała Antea, płacząc prawie z radości! — Wszystko dobrze! — nie zamieniliśmy się w kamień. Ach, Cyrylu! jakiś ty kochany, słiczny z twojemi dawnemi piegami, i ciemnymi włosami i małemi oczkami! I wy wszyscy tacy sami jak przedtem! — dodała, żeby nikt nie był zazdrosny.

Gdy powrócili do domu, Marta wyłajała ich mocno, i opowiedziała im o napadzie obcych dzieci.

— Ładne były, nie ma co mówić, ale bezczelne urwisy!

— Wiemy o tem — odrzekł Robert, który wiedział z doświadczenia, że na nicby się nie zdało tłomaczyć Marcie, co i jak było.

— A gdzieżeście u Boga siedzieli tyle czasu, niegodziwcy!

ślesz redakcyi Szarotko? gwałtu! biedna redakcyja nie pomieści takiego ładunku. Przeczuwam, że tu chodzi o marki i przedstawię twoją prośbę redakcyi, przyznaj jednak, że Jaskółka jest domyślnym ptaszkiem gdyż w twoim liście wyraz ten został opuszczony. Znam Zakopane, Szarotko, zachwycam się tą miejscowością i posłałabym tam wszystkie dzieci z Warszawy, bo wiele z nich wcale nie odczuwa piękna natury. Czy może być inaczej? Ankieta przeprowadzona w szkołach berlińskich wykazała że 70% dzieci nie widziało wschodu ani zachodu słońca, 82% nie słyszało skowronka, 59 procent nie widziało wcale pola ani łąki. To przecież okropne, tysiące zjawisk natury, z których każde wpływa na duszę człowieka, obce jest dziecku wychowanemu wśród wysokich murów miasta a cóż dopiero wychowanemu w suterenie. Więc umieć cenić swoje szczęście ty, Szarotko, która rośniesz w Zakopanem.

Wymnuję ze skrzynki dalsze listy. Może znajdę znów nowych znajomych, pytających, jak mnie mają nazywać, dręczonych myślą, czy zechcą przyjąć ich do naszego grona. Prawda, wy starzy moi, jakie zabawne te ceremonie? Nazywam się Jaskółka, straszny to ptak, jest też czego drzeć w obec takiego drapieznika. A jednak drżą. Czytam naprzykład, w jednym z najmilszych liścików, że jest pewna osóбка, ukrywająca się pod pseudonimem **Kochającej**, która marki przysłała, ale na list do Jaskółki odważyć się nie może. Takież to twoje kochanie, ty Kochająca?

Albo **Świtezianka**, ta znów ma kłopot z tytułem należnym naszej ptaszynie, a przecież w 7 numerze Wieczorów pisałam, jaką nazwę za najdroższą uważam. Długo nie mogła się też zebrać na list i **Biała Prymulka**, a szkoda, bo pisze bardzo miłutko. Podróże czyta także chętnie i **Trawka Sławińska**, mam nadzieję, że redakcyja dogodzi waszym życzeniom. Łamigłówni twoje, Prymulko, przyjęte, marki można przysłać w liście, co zaś do taniej biblioteczki, to w lipcu pewnie wiele już książek będzie wyczerpanych.

Rymowanemi życzeniami zaczyna korespondencyą **Stas z nad Świętej**. Proś Boga, Stasiu, aby życzenia te się spełniły, żeby słowa moje niosły zachętę w dobrem, ja tak bardzo pragnę być wam użyteczną. Żądany numer wysłała redakcyja.

Figlar Warszawski pyta, czy może pisywać. Figle to są, mości panie, wiesz bowiem dobrze z moich odpowiedzi, że rada witam nowych znajomych, zresztą nie jesteś nawet tak zupełnie nowym, miałaś już raz list dla siebie w skrzynce.

Chciałabym dać dobrą radę **Sztubakowi z Wilna**, ale wybór deklamacyi, sprawa pewnie pilna. Więc nim dojdzie cię, Sztubaku odpowiedź ptaszyny, już twe czoło za poezję uwieńczy wawrzyni. Bądź wierna twemu pseudonimowi i nie zapominaj o nas **Niezapominajko**, bo zaliczam cię od dziś do bardzo miłych korespondentek. **Pierwiosnku z Galicyi**, czy tam u was już wiosna, że wychyliłeś się z pod śniegu? A może ogrzały cię moje myśli, które wysyłam w różne strony kraju do nieznanych a przeczuwanych kwiatków. Dobrze mi wróży znajomość z tobą, nie tracisz czasu na ceremonie, przytem pismo bardzo starannie i nie lubisz egoizmu, witam się więc z radością w naszym gronie kwiatku dobrej wróżby.

Za dobrą wróżbę biorę i twój pseudonim **Mały Prusie**, bo Prus, ten wielki Prus, to nie tylko znakomity autor, ale wielki sercem współczującym wszystkim nędzom świata. Cieszę się, że lubisz Wieczory i pragnę gorąco, abyś znalazł w naszym kochanem piśmie podniecie do naśladowania twojego pseudonimowego wzoru. Wyrośnij, jak on na chwałę raję, na ratunek potrzebującym pomocy.

Małemu Prusowi zawdzięczam znajomość z tobą **Orle Zubuty**, a znajomość zrobimy łatwo, skoro i ty polubiłeś "Wieczory". Ogłosiły one już konkurs na kaligrafię, na ryłki zaś ogłoszą wkrótce. Mam nadzieję, że obaj stanicie szrankach, jak na dzielnych szermierzach przystoi, i obu za-

le czytać lubi, pisze też bardzo starannie, jakże więc takiej korespondentki nie utulić skrzydełkami na znak serdecznego powitania w naszym gronie.

Skończyłam z nowemi korespondentami, teraz leży jeszcze paczka listów od starych. Nie stara, ale już znana, jest tu **Szara Koteczka**, do której najprzód łapkę wyciągam, wiem, że jej nie zadrapie, bo to bardzo dobre stworzonko, zbiera marki dla biednych murzynków, przyslij je Kotko kiedy, i ile chcesz, będzie to zawsze dobry uczynek. Łamigłówni redakcyja umieścić nie może, bo wybrałaś do niej imię i nazwisko nie nadające się do zadania.

Smutno brzmi twoja kartka **Leśna Poziomko**, bo smutnem jest być rozłączoną z ojcem i z braćmi, staraj się jednak znosić odważnie samotność, wielka to czasem mistrzyni. Czytałam teraz o młodej Chorwatce, którą nazywają pustelnicą, chociaż prawdziwe jej nazwisko Raszkałowa. Głuchoniema od urodzenia pokochała całą duszą naturę, spróbowała ją odtwarzać pędzlem, dziś krajobrazy Chorwatki zdobiją wystawę obrazów w Pradze, ale ona sama żyje z daleka od ludzi z Bogiem, z naturą i pracą.

Spojrzałam w twoje okienka **Gospoiti**, na fotografii wyglądają jasno i wesoło, czemu nie wyjrzałaś przez szybę? Byłabym zobaczyła kochaną korespondentkę i dała jej znak, że tajemnie redakcyi zdradzać nie mogę.

Czyż mogłabym się gniewać **Beatryczo**, za brak listów, kiedy powodem milczenia była choroba i skaleczony palec? Teraz jednak pragnę, byś jaknajczęściej pisała, raz dlatego, że listy twoje robią mi przyjemność, a także dla własnej twojej korzyści, gdyż zdarzają ci się jeszcze błędy. *Uwzywać* należy pisać przez *rz*, a pióro przez *o* kreskowane.

Jakże chętnie frunęłabym do waszego gniazdka **Turkawko**, żeby świergotać z tobą, z Skowronkiem, z Wróbelkiem, żeby musnąć skrzydełkiem Polną Rózyckę, a małemu Tadzikułkowi przynieść pozdrowienie od wszystkich małych ptaszków. Pismo twoje wyraźne, o co bardzo dbać należy, powieść autorki, której pragniesz, znajdzie może w tym roku w „Wieczorach”. Redakcyę prosiłam o wydrukowanie twoich pozdrowień, ale wątpię, czy będzie mogła spełnić tyle zleceń. Donieś, którego dodatku ci brakuje.

Wolaś o długi list **Dzikusie z Ustronia**, a ja czuję już w powietrzu nożyce redakcyi. Na duzo pytań znajdziesz zresztą odpowiedź w poprzednich listach. Chętnie pożyczylabym ci skrzydeł, żebyś mogła poprunąć do tatusia, pożyczylabym ich i twoim kochanym klejnotom **Brylancikowi i Perlece**, cóż kiedy marne te moje skrzydła, więcej od nich warte serce i myśli, te ślą zawsze do was, więc i do ciebie, kochany Dzikusie, do twej szanownej mamy z wyrazami wdzięczności za pamięć o Jaskółce. Donieś mi, co porabia **Kąkol**, szczerze współczuję jej nieszczęściu.

Dziękuję ci, **Polska Dziewczynno**, że spełniłaś moją prośbę i przysłałaś opis jasełek, którymi dziele się z wszystkimi czytelniczkami. Jasełki urządzono na wsi, w okolicy, gdzie kiedyś Jan Kochanowski układał swoje pieśni. Przedstawienie miało bardzo licznych widzów, przeważnie z ludu, aktorami byli także wieśniacy. Duch wielkiego poety musiał natchnąć dobrą myślą uczestników i organizatorów widowiska, gdyż słyszałam z wielu stron, że było ono nad podziw piękne i ciekawe. Czemużby lud nasz nie miał z czasem zadziwiał i wzruszać szopką, tak jak lud niemiecki zadziwiał przedstawieniami pasyjnymi w Oberamergau. Nasze kolendy są tak piękne, a miłość naszych pastuszków do Dzieciątka w Betleem tak gorąca. Gorącą też musi być i miłość twojej rodziny Dziewczynno, dla braci z chat, skoro tyle pracy poświęcono pięknej myśli. Przyklasną tej pracy wszyscy ludzie dobrej woli, a cieszy się nią wielką, rzadko doznawaną radością, *Wanna*

Jaskółka.